



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerat. Stasz. Hollandyę.

We wszystkich księgarniach Rosji i Bułgarii, w Warszawie w organizacjach i w spółdzielniach.

Prenumerata w Cesarstwie w ubożstwie.

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 4 kop. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

SIŁA WOLI.

Siła woli jest najdzielniejszą podporą człowieka, kto jej nie posiada, nie zdoła nigdy utrzymać się przy przekonaniach, wierzeniach swoich, których odstąpi — które zdradzi, gdy nacisk okoliczności uderzy na niego przemocnie. Siła woli prawdziwą jest przywiązanie niezmiennie do pewnych ideałów, do pewnego moralnego porządku życia, od którego odstąpić nie chcemy dla żadnych względów pobocznych i wtedy to tylko człowiek uczeiwy, znający co jest złem a co jest dobrem, nie da się nigdy skłonić okolicznościom do zboczenia z drogi prostej, nie wyciągnie ręki po nabytki mało godziwe. Gdy Michał Anioł mówił, że cnota jest w człowieku młodością, niewątpliwie odnosił to do takiego mocnego stania przy prawdzie, przy pojęciach jej swoich, jak gdyby dzielność młodości stała tu na straży i nie dopuszczała zachwiania się, odstąpienia od przekonania swoich. Umiejętność panowania nad sobą zawiera się w sile woli takiej, potrzeba przecież pilnować się, aby to nie było zadowoleniem w nas egoizmu, który dąży bezwzględnie do celów swoich, staczaniem darwinowskiej walki o byt, co przecież nastąpić musi konieczność, jeżeli nie będziemy uznawać praw ludzi innych. Siła woli szlachetna powinna mieć przed sobą tylko takie prawa, uczeiwe zadania życia, które by uszczęśliwiały nas przez ukochanie w nich nie tylko siebie — jednostkę, ale ludzkość: ideę życia podniosłą a wytworzy się z tego ta szlachetna ambicja człowieka, która zaspokojoną zostaje przez sam wewnętrzny nasz rozwój, urzeczywistniając się w czynach, które wytwarzają postępy rzeczywiste, bo doskonalenie się, więc cnotę, która podnosząc jednostkę, nie tylko ją jedną uszczęśliwia.

Wtedy to siła woli nawet w nateżeniu swem najdzielniejsza, nie stanie się w nas nigdy despotyz-

mem, bo uczucie, już nawet nie miłości bratniej, ale uznanie takich praw bliźnich naszych, jakie sami posiadać pragniemy, bronić nas tu będzie od tego.

— Nie czyni drugiemu, co tobie nie miło... brzmieć nam zawsze powinno głosem sumienia naszego, skoro tylko zapagniemy siłę woli naszej drugim narzucać, zadając gwałt ich woli. Chęć wywarcia mocy naszego ducha — panowania nad otoczeniem swoim, jest ambicją człowieka szlachetną, lecz zaspokoї on się w nas dostatecznie przez sam rozwój wewnętrzny, który jest najważniejszym, gdy zarazem i zewnętrzny urzeczywistni się przez współudział w postępie, wytwarzającym się wtedy z konieczności.

Wyrabiając też w dziecku młodem przez odpowiednie wychowanie siłę woli, zdolność opanowywania tego co jest mocą ujemną, potrzebujemy postawić tu zarazem na straży przestrożę, że ideał duchowego panowania nie może być bezgranicznym. Musimy wziąć to sobie za prawo, któremu ulegać nam należy, że nie tylko obowiązani jesteśmy kochać bliźniego jak siebie samego, ale i szanować go podobnie, więc nie godzi nam się wywierać na niego nacisku, który by łamał gwałtem jego chęci, przeciwstawiał się despotycznie pragnieniom, co było by ograniczeniem jego najwyższych praw człowieka. Każdy z nas odpowiada tak przed Bogiem jak przed ludźmi za czyny swoje i nikt też nie ma prawa następować tu przemocą.

Siła woli naszej ma pole wywarcia szerokie. Poczucie harmonii, doskonałości, jest wrodzone każdej szlachetniejszej istocie ludzkiej i umieć go wytworzyć w otoczeniu swoim jest uszczęśliwieniem nie tylko nas samych, ale i tych, którzy z nami życie dzielą, trzeba przecież na to pewnego duchowego stanu, który wymaga ciągłej chęci dążenia ku czemuś lepszemu, co odrywa nas od pożądań małych i podnosząc nad drobnostki nie tylko broni od zatonięcia w nich, ale nie daje nam dręczyć się niemi dokuczliwie, więc nie odbiera nam energii potrzebnej w chwilach życia ważniejszych. Kto małostkami życia się zmęczy, nie zdoła już potem

wydostać sobie z piersi mocy podnoszenia ciężarów życia wielkich; przepisy moralne nie wystarczą już na to, siły zużyte odmówią posłuszeństwa i trzeba zmęczonemu ręce opuścić.

Praca, jako uzacznienie życia, powinna służyć nam za podstawę sił naszych. Bóg stworzył człowieka do szczęścia, skoro pragnienie szczęścia tego w piersi nam zaszczerpił, więc pożądać nam go wolno i potrzeba tylko, abyśmy mieli w sobie tę siłę woli rozumną, która by możliwy ideał szczęścia przed nami stawiała jedynie, co oznaczać bynajmniej nie ma drobnych, maluczkich pożądań takich, które niewysoko, niedaleko od nas leżą. Błękity niebios czyż nam są bliskie, a przecież wzrok podnosimy ku nim z miłością i nadzieją, tak też człowiek powinien kierować się w życiu. Siła jego woli na to mu dana została, aby umiał w pragnieniu ideałów wysokich dążyć ku nim drogą choćby trudną i twardą. Krok każdy naprzód bliższymi je nam czyni, więc byle tylko istniało w nas pragnienie osiągnięcia ich prawdziwe — byleśmy nie zesłabli i ręk nie opuścili, nadzieja towarzyszyć nam powinna.

Przecież wyobrażenie sobie szczęścia nie może się łączyć z wyobrażeniem przyjemności; człowiek, którego wzrok nie przykuwa się nieoderwalnie do ziemi, potrzebuje ogarnąć myślą przestworze i tu mu właśnie potrzebna jest siła woli, przez którą umiałby podnieść się po nad drobne życie przykrości a kobieta, która z natury pracy swojej z takimi przykrościami spotykać się musi często, baczej jeszcze pilnować się powinna, aby nie stała się drobiazgową — aby z rzeczy małych nie czyniła wielkich, bo wtedy skala jej sądu obniży się i nie będzie zdolną ocenić tego co wyższem, podniosłem jest w istnieniu ludzkości. Anastazy Dzie duszycka, pisząc: „Pragniemy dla kobiet wiedzy wyższej przez wzgląd na ich szczęście i dobro społeczeństwa,“ nie myliła się bynajmniej; człowiek jest niewątpliwie tem szczęśliwszy, im władze jego a zarazem i zdolności rozwijają się szerzej — im doskona- lej zrozumie znaczenie tego, co na dział jego obo-

wiązku przypada, bo wtedy ta jego wiedza prowadzić go może i powinna do pojętego doskonalego czynu każdego, tak w rodzinie, jak i w społeczeństwie. Każda istota ludzka ma też w sobie pragnienie wydobycia z głębi własnej złożonych tam zasobów działalności, ale potrzeba na to przedewszystkiem tej siły woli, któraby nie lękała się pracy, podnosiła się po nad małe cierpienia, małe straty i troski, o zarazem po nad małe radości, co jest szlachetnych dusz cechą. Zespolenie dobra ze szczęściem przedstawia szczyt mądrości ludzkiej i z tego to połączenia wytwarza się związek, który wydaje najdoskonalsze zadowolenie ducha ludzkiego.

Kto przecież nie umie woli swojej poddać pod prawo obowiązku, nigdy takiego szczęścia nie osiągnie, jest to przecież w praktycznego rozumu mocy, abyśmy przez wyrobienie w nas odpowiedniej siły moralnej umieli wydobywać sobie z głębi ducha jak najwięcej sił czystych a dzielnych, któreby pomocą nam się stawały nie tylko w starciach życia, ale w obec rodzących nam się w piersiach pożądań. Udoskonalenie życia rodzinnego, uczynienie z rodziny instytucji, wytwarzającej ludzi z tą siłą przekonania gruntowną, która by stała się następnie wśród prac i zadań życia wolą mocną, to obowiązek, którego społeczeństwo i moralność domaga się od kobiety, bo ona to odbiera niejako od Boga ducha ludzkiego w dziecinie, na jej łonie utulonej. Trzeba przecież na to, aby cnota była w nas siłą, a stanie się to spokojnie, bez walk, bez wysilen, gdy człowiek przyzwyczajony już od dziecka do znoszenia coraz to większych ciężarów, wolę swoją do obowiązku nagiąć umie.

M. I.

Pieśń szczęścia.

Słyszę pieśń!... To w mej duszy coś gra i coś śpiewa...

Milion tonów się w jeden cudny akord zlewa,
Tworzą pieśń!... To pieśń szczęścia, pieśń mego ducha,

Pieśń cudna, pieśń z najlepszych pierwiastków istoty.
Złożona.. Harf tysiąca dźwięk wy daje złoty, [ty
Czaruje mnie, zachwyca, unosi, porywa!..

Pieśń najcudniejsza z dźwięków świata, pieśń [szczęśliwa!
Śpiewam ja a duch dźwięków własnej pieśni słucha.

Pieśń brzmi. Duch mój na falach pieśni owej płynie.
Pod obłoki i wyżej... wyżej gdzieś do słońca, [nie
Do gwiazd, za gwiazdy, wyżej i wyżej bez końca!
Już gwiazdom zniknął z oczu, w lepsze wzniosł się światy

Przepadł w nieskończoności i szczęścia krainie...
Wszystko zostało pod nim: ziemia, gwiazd miliony,
Wszechświat cały... i jeden tylko dźwięk skrzydlaty,

Potężniejszy, niż wszystkich huraganów tony,
Milszy, słodszy, niż wszystkich serafinów pienia,
Pieśń słowiczą łączący z szemraniem strumienia
I wszystkie dźwięki świata w bezmiernej potędze,
Uniósł się za mną na szczęścia różnobarwnej [wstędze

I w nieobjętej okiem rozbrzmiewa przestrzeni,
Tam gdzie nie dotarł nawet najmniejszy z promieni.

Najdalsza z gwiazd, co zorzy blaskiem się rumieni...
Tam pieśń szczęścia dotarła, zabrzmiiała w przestrzeni.

Żal mi was, coście takich dźwięków nie słyszeli,
Żal mi was, coście takich chwil w życiu nie mieli,
Bo takich to chwil ludziom zazdroszczą anieli!

Gdybym mógł dźwięki pieśni tej zamienić w słowo.
Choćby w połowie, nawet połowy połowa [wa,
Już by wystarczyć mogła dla szczęścia ludzkości...
Wykułbym ją w granicie lub twardym marmurze,
I gdyby się rozległa w ludzkich jękach chórze,
Wiem, żeby ukoili wszystkich cierpień bóle
I uniosła gdzieś wyżej ziemi naszej kulę!

Czyż duch nigdy na takiej nie był wysokości,
Kto się nigdy za życia dźwiękami takimi
Nie zachwycał, ten nie wie, czem szczęście na [ziemi!
Selim.

Kobieta w Stanach Zjednoczonych.

I.

Sądy przeciętne, spotykane w prasie europejskiej, o Amerykankach, są zazwyczaj nawskroś fałszywe. Niepodobna bowiem — jak słusznie twierdzi pani Bentzon — uogólniać cech indywidualnych narodu, który powstawszy ze zlania się ras przeróżnych, zamieszkuje olbrzymie obszary, a zależnym jest, w rozwoju swym, od wręcz przeciwnych nieraz warunków klimatycznych i społecznych. Na ukształtowanie się danego typu wpływa: pochodzenie, otoczenie czyli środowisko, w jakim żyje, tradycja, prawa, zwyczaje, klimat, stopień wykształcenia, rodzaj zajęć i wiele jeszcze innych względów. Czy podobna więc wobec tego przypuszczać, aby w państwie, złożonym z czterdziestu czterech stanów, z których najmniejszy większym jest od Szwajcarii, wiele zaś przewyższa rozmiarami Francji, aby w państwie, sięgającym od lodów cieśniny Behringa i półwyspu Alaski, do upalnej a w żółtą febrę obfitującej Panamy, dał się ustalić, bez względu na rasę i pochodzenie, jeden przeciętny typ niewieści? Samo przypuszczenie podobne jest nielogicznością. Północ i południe, wschód i zachód, posiadają właściwe sobie cechy. Chcąc więc poznać kobietę amerykańską, nie należy zbliżać się do niej w hotelach, *table d'hôte* ach i miejscach kąpielowych Europy. Tu bowiem spotykamy najcenniejszą bogatą i bezmyślną kosmopolitkę, która, rozrzucając pieniądze przez innych krwawo zapracowane, podobną jest w tem do wszystkich marnotrawnie świata. Cechy ich zawsze wspólne: próżność, kokieteria, mózg ptasi i serce, — eh, szkoda czasu na określanie serc takich...

Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen. Kto chce poznać kobietę amerykańską, ten musi obserwować ją bacznie, w głównych ogniskach tamtejszego życia: New-Jorku, Bostonie, Filadelfii, Chicago; musi badać ją na południu i zachodzie, w chatach rozrzuconych wśród preery i pałacach stolicy, na katedrze profesorskiej i przy urnie wyborczej... Wtedy zrozumie dopiero, dla czego Stany Zjednoczone są w przededniu nadania im wyższych przywilejów politycznych, czemu Wyoming przyznał im prawo głosowania publicznego, Kansas i Colorado prawo głosowania i zasiadania w radach municypalnych, dla czego wreszcie państwo tak olbrzymie czyni zależnym od ich zdania zarząd szkół, oraz cały zakres wychowania publicznego.

I, aby twierdzenie to poprzeć dowodami, prowadzi nas p. Bentzon do miast wymienionych, wskazując najoryginalniejsze ich rysy i najwybitniejsze urzędników.

Pomijamy tu pierwsze rozdziały tej pracy, poświęcone podróży, ogólnej charakterystyce turystek i *beau-monde'u* amerykańskiego, oraz wrażeniom z wystawy w Chicago. Rzeczy te znane już

są z opisów. Tem chętniej za to, zatrzymujemy się na organizacyi klubów niewieści.

Pierwsze z nich powstały przed ćwierć wiekiem, w Bostonie i New-Jorku. Pod ich pionerską opieką założono oddział trzysta podobnych stowarzyszeń. Związek ogólny klubów niewieści amerykańskich, nadaje wszystkim pewną siłę a zarazem pomaga do otwierania coraz nowych ognisk towarzyskich. Najżywoźniejszymi są kluby w Chicago. P. Bentzon opisuje szczegółowo: *The Fortnightly* i *Womans Club*.

Pierwszy jest klubem wyłącznie literackim, poświęconym dwutygodniowemu zebraniom, na których uczestniczki, przygotowując się poniekąd do życia parlamentarnego, roztrząsają sprawy społeczne, estetyczne i polityczne. Na posiedzeniu w którym uczestniczyła nasza podróżniczka, w sali przepełnionej kobietami, słuchała w najwyższym skupieniu, poważnej rozprawy p. Amelii Gere Masson, p. t. „Typy niewieście współczesne i starożytne“. Po odczytaniu pracy tej, nastąpiła dyskusja bardzo ożywiona a odznaczająca się: spokojem, ścisłym obiektywizmem, brakiem zdawkowej grzeczności, oraz niezachwianą, choć w wykintne formy ujętą prawdą. Temat rozpraw tych bywa z góry oznaczony, obejmuje zaś, szeroki zakres: etyki, filozofii, nauk ścisłych, historii, literatury, i t. d. Po odczytaniu i przedyskutowaniu poruszanej w nim kwestyi, następuje zabawa czysto towarzyska: muzyka, herbata i gawędka, w której w obec poważnego przysługowania umysłów, nie słyszy się ani plotek, ani rozpraw nad strojami, tej kłęski zwykłych zebranych niewieści.

Woman's Club ma inne cele i jest stowarzyszeniem na wskroś społecznym. Przewodnicząca jego D-r Sara Stevenson, ciesząca się największą wziętością, wśród *dwustu* lekarzek miasta Chicago, jest zarazem założycielką „Towarzystwa opieki nad kobietami“. Związek wszystkich ten nie jest tak wykintny, jak *Towarzystwo opieki nad kobietami* sam cel założenia bowiem Galla wielki konę członkinię we wszelkich sferach społecznych. Uczestniczki dzielą się na sześć wydziałów, z których każda posiada osobny zarząd. Istnieją więc odrębne komitety do spraw: reform społecznych i prawnych, filantropii, wykształcenia, wychowania domowego, sztuki i literatury, nauk i filozofii.

Wróćmy jednak do „Towarzystwa opieki“. Instytucja to, jak na nasze stosunki nie zrozumiała. Celem jej, obrona w najszerszym znaczeniu praw kobiety i dziecka. Towarzystwo dochodzi krzywd, egzekwuje zapłatę wstrzymaną sługom i robotnikom, przeciwdziała lichwie, wyrabia rozwody ubogim a nieszczęśliwym małżonkom, wychowuje dzieci opuszczone, i t. d. O działalności jego może dać pojęcie fakt, iż utrzymując osobnych prawników, przeprowadziło przez ostatnie pięćdziesiąt lat 7.197 spraw, oraz rozdało 1.249.687 dolarów wsparcia. Wyrażnie przeszło półtrzecia miliona rubli, zebranych z drobnych a dobrowolnych ofiar. Popierane przez sędziów pokoju, komisarzy policji i wszystkich przedstawicieli rządu, „Towarzystwo opieki nad kobietami i dziećmi“ cieszy się najwyższem ogólnem uznaniem a dochodzi do takich wpływów, iż niedawno uwolniło od odpowiedzialności kobietę, która na pełnem posiedzeniu sądowem strzeliła do adwokata; dowiodła bowiem, że on to złośliwymi wycieczkami doprowadził ją do rozpaczego wybuchu.

„Towarzystwo opieki“, nie jest jedynym tytułem do zasług *Woman's Club'u*. Dzięki jego działalności, kobieta na każdym stanowisku, od nędzarki do milionerki, od niewinnej dziewczynki do morderczyni, wszędzie i w każdej chwili życia, spotyka wyciągniętą ku sobie dłoń niewieści. W szpitalu obłąkanych, w więzieniu, biurach policji, przytułkach, wszędzie do zarządu wprowadzono kobiety, które nad niewieściami oddziałami czuwają. *Woman's Club* założył swoim kosztem pierwsze lazarety i ambulatoria oraz kąpiele bezpłatne dla ubogich; dalej jego dziełem jest stałe stypendjum i doroczna nagroda w Instytucji sztuk pięknych; jego fundacyi gmach, obejmujący sypialnie, sale jadalne i gimnastyczne, czytelnię, i t. d., dla trzystu studentek nowego uniwersytetu w Chicago. *Womans Club* dał 40.000 dolarów na szkoły zawodowe dla małoletnich włóczęgów, on strzeże nauczania publicznego i pilnuje, aby każde dziecko między 6—14-m

rokiem życia, spędzało cztery zimowe miesiące w szkole.

Wylczyć całą obszerną działalność i wszystkie zasługi *Klubu kobiet*, znaczyłoby to przetłumaczyć pracę p. Bentzon. Sądźmy, że i wymienione powyżej przykłady, stwierdzają dostatecznie, jaką siłę daje jedność i solidarność, jaką potęgą staje się wspólne a łączne działanie. Nadmienić tu należy, iż według zdania mężczyzn mieszkańców Chicago, cała duchowa strona tego miasta, wszystkie jego dobre, humanitarne, szlachetne instytucje, cała idealniejsza strona życia, jest wyłącznym dziełem *Klubu kobiet* i jego dodatniego na społeczeństwo wpływu. Mężowie też, nie tylko chlubią się uczestnictwem żon swych w instytucji tej, lecz uważają należenie do niej za obywatelski obowiązek każdej kobiety. Bez tej daniny i jej wpływu uszlachetniającego, ciężka walka o byt, tak sroga w całej Ameryce a najzjadliwsza w Chicago, zbrutalizowałaby wkrótce społeczeństwo, które od niedawna dopiero zna apostołstwo słodkich uczuć altruizmu, filantropii, piękna i poświęcenia.

Mówiąc o klubach niewieściech zaznaczyliśmy tylko działalność ich społeczną, towarzyską bowiem mniej jest pojęciom naszym obcą. Wzajemnie trudno nam uwierzyć, iż „Świątynia kobiet“, *The Women's Temple*, olbrzymi, trzynastopiętrowy gmach opisywany przez tylu podróżników, jest znów dziełem „płci słabej“. A jednak, dźwignęła go jedna tylko kobieta, mis. M. B. Corse, która wspólnie ze słynną Franciszką Willard, poświęciła życie i nadludzkie siły, na zwalczanie pijanstwa, opasawszy zaś obie półkule siecią towarzyszących wstrzeźliwości, główny ich zarząd dla Europy i Ameryki łącząc, pomieściła w owym potężnym gmachu, zwanym: *Świątynią kobiet*. Promienie, idące z tego ogniska, a niosące z sobą dobrobyt i szczęście milionów, ogarniają już dziś, prócz Stanów Zjednoczonych, Anglię, Belgię, Holandję, Niemcy i Szwajcaryję, sięgają ku Rosyji i Bułgarii, idą na Wschód i Północ, powołując w organizację swej, dziesiątki tysięcy kobiet do współdziałania przeciw hydrze alkoholizmu, jako źródłu ubóstwa i zezwierzęcenia.

Drobny to dopiero przykład ofiarności, filantropii i poczucia obywatelskiego kobiet amerykańskich.

Chicago, na 1.100.000 mieszkańców, posiada zaledwo 300.000 rdzennej ludności miejscowej. Reszta, to przybysze z całego świata, przeważnie: Niemcy, Polacy i Irlandczycy. Większość ich wykołejona, rzucona w obce otoczenie, znalazłszy się w kraju, gdzie każdy pracuje nie tylko ze zdrową siłą, lecz z nieznanym gdzieindziej i niesłychanym napięciem, posiadałaby w warunkach tych dwie jedynie alternatywy: strycek lub śmierć głodową. Do walki jednak, z widmem tem ohydny, staje znów—współczucie kobiety.

Ubogi cudzoziemiec, przybywszy do Chicago, spotyka na drodze swej Hull-House instytucję, jedyną w swym rodzaju, naśladowaną już później przez inne miasta a założoną przez miss Janinę Addams. Pani Bentzon mówi o zakładzie tym, z takim zachwytem, iż z obszernego jej opisu przytaczamy tu parę szczegółów.

Hull-House to nie europejski przytułek dla nędzarzy. Miss Adams prócz majątku, włożyła w niego wszystkie swe siły, całą inteligencję i całe życie zarazem. Przybrawszy też do pomocy miss Starr, utworzyła wzorową instytucję samopomoocy, do której biedak wchodzi z podniesionym czołem, bo nie przyjmuje tu nic od nikogo darmo.

Potężny zakład Hull-House'u dźwignione zostały w samym środowisku nędzy, w sercu najuboższego i najgorzej renomowanego przedmieścia Chicago. Miss Addams, poświęciwszy raz życie szczytnej owej idei, nabyła na ten cel i odnowiła gmach wielki, wzniosła nowe pawilony, załudniła to wszystko a następnie, powołując do współdziałania arystokratę miasta, stworzyła całość doskonałą, w której biedak i bogacz łączą się ciągle, by wzajemnie wpływać na siebie.

Oto oddział pierwszy. Nosi on miano „Klubu Janiny“, a poświęcony jest wyłącznie pracującym kobietom. Od szwaczek, pańien sklepowych, aż do nauczycielek, każda, która raz tu wejdzie, znajduje za minimalną opłatą ognisko rodzinne, wraz z całym jego komfortem i moralnym wpływem. Na

pozór nie swobody jej nie kępuje; w gruncie jednak, prąd panujący tu i otoczenie oddziałują, łagodząc obyczaje i wszczepiając w duszę kult ideału. Dziewczyny te po całodziennym trudzie, znajdują w Hull-House dostatnie pożywienie, wzorową czystość, rozrywkę, wykłady języków i nauk, lekcje muzyki, jednym słowem wszystko, co wydziedziczone a samotne pracownice podnieść i uszlachetnić może. Każda z nich, opuszczając z czasem „Klub Janiny“, wychodzi z niego jako pionierka uczciwych zasad i rozumnie pojętej sprawy niewieściej.

Klub chłopców obszerny, pod względem wygód wzorowo urządzony, prowadzonym jest przez synów najbogatszych rodzin w mieście. Ci ubodzy, wydziedziczeni często ze wszystkich skarbów ziemi, wracając tu po całodzienną pracę, znajdują oczekujący na nich dostatni posiłek, ciepłą kąpiel, sale gimnastyki i fechtunku, pracownię rzeźbiarskie i snycerskie, a dalej: lekcje geografii, historii, języków, łaciny nawet. Wykłady prowadzone są bezinteresownie przez bogatą młodzież z Chicago, która bratając się z nędzą, uczy się wglądać w potrzeby uboższych, łączyć z nimi i prowadzić tłumy te; uczy się innemi słowy, sztuki rządzenia w najprawdziwszym jej znaczeniu.

Trzecią sekcję Hull-House'u jest oddział dziecięcy, zaopatrzony w obszerny lokal, fachowe przewodniczki, froeblovskie ogródki, i t. d.

Po krajowcach idą cudzoziemcy. Istnieją tu oddziały dla wszystkich narodowości, przychem każda związana jest w klub ozdobny, mający prawo zgromadzania się raz na tydzień ku wspólnym naradom i rozrywce. W górnych salach sekcji tej nie brak nawet bilardu i galerii obrazów, przychem dla żądnych wiedzy prowadzi się wykłady: rysunku, nauk przyrodniczych, ekonomii politycznej, i t. d. Czytelnie wielkie dla robotników, place urządzone specjalnie do gier towarzyskich i ulubionych w Ameryce zapasów atletycznych, uzupełniają szeroki program Hull-Housen. Olbrzymi zaś zakład ten, uwzględniający wszelkie wieki, wszystkie narodowości i wszystkie nędze, starający się wnieść promień światła, ciepła i swobody w życie tysięcy nędzarzy najbardziej wydziedziczonych, dźwignięty został ręką jednej kobiety.

Czy miasto Chicago ma rację czeić jej nazwisko?

Nie tu wreszcie koniec zasługi miss Adams. Hull-House jest jeszcze punktem zbornym dla *meetingów* socjalistycznych i politycznych; chodzi mu bowiem o zwalczanie anarchii, szerzącej pojęcia swe i zasady, wśród robotniczych sfer Ameryki. Pani Bentzon opisuje nam szczegółowo jedno z takich posiedzeń. Żadujemy, że charakter „Bluszcza“ i brak miejsca nie pozwalają nam na przytoczenie zarysu choćby tych nader ciekawych obrad.

Wyższem jeszcze od miss Addams poświęceniem odznacza się pani Logan. Stanawszy na czele niewieściech inspektorek policji, obrała sobie za cel życia odrodzenie i umoralnianie zbrodniarek. Aresztowani odprowadzani zostają wszyscy razem do centralnego więzienia. Tu czeka już na nich mis. Logan i sortuje — że się tak wyrazimy—uwięzione. Dziewczyny mające choćby isierkę jeszcze poczucia moralnego, oddawane są w opiekę tej wyjątkowej kobiecie, która czyni wszystko dla uratowania ich i podźwignięcia. Podejmują się obrony, towarzyszy im—dla dodania odwagi—do sądu, zstępują w najgorsze czeluście, nie zna wstrętu, pogardy ni trudu, tam gdzie ocalenie zbłąkanej jednostki możliwym się zdaje.

Kobiety, które wkładają na siebie tak ciężkie obowiązki, mają chyba prawo wymagać pewnych przywilejów. Posłuchajmy co mówi o tem mis. Małgorzata Sullivan, głośna dziennikarka a zarazem jedna z najwyższych płatnych i cenionych redaktorek *Herald'a*.

Siłą reformatorek amerykańskich,—dowodzi mis. Sullivan,—jest szacunek ogólny i nieskazitelna opinia, na jaką miały zawsze osobiste zasługi. Nawet najpierwsze pionierki, te które mimowoli największą zwracały na siebie uwagę, ośmieszane i wyszydzane za ideę równouprawnienia, pozostały bez zarzutu pod względem obyczajów. Głośne apostołki emancypacji, jak panie: Stanton, Anthony i niedawno zmarła Łucya Stone, potrafiły życiem wzorowem cześć dla siebie nakazać. Najwybitniejsze przewodniczki *Woman's Club'u* są zarazem naj-

lepszymi żonami i matkami. Działalności ich przyklaskują przede wszystkim mężowie, którzy chlubiąc się z zasługi swych towarzyszek i z wpływu wywieranego przez nie na społeczeństwo, pierwsi przyklasnęliby powołaniu ich do państwowej urny wyborczej, gdyby tylko kobiety Stanów Zjednoczonych serwo reformy tej zażądały.

W obce tego nie zadziwi nas, że panie Sullivan i Marya Abbott należą do najpoczytniejszych współpracowniczek i kierowniczek prasy; że podczas wystawy w Chicago najpopularniejszym było imię pani Potter-Palmer, organizatorki oddziału niewieściego; że napisanie ody Kolumbijskiej, czytanej przy otwarciu pałacu sztuk wyzwolonych a na uczczenie czterechsetnej rocznicy odkrycia Ameryki (21 Października 1892 r.) powierzone zostało nie mężczyźnie pióru, lecz poetce, miss Henryce Monroe. Nigdzie też nie uderza tak, jak w potężnym i wielkim Chicago, prawda słów Stuarta Mill'a, dowodzącego, iż „nadechodzi godzina panowania kobiet“. Tak, dodaje pani Bentzon, nadechodzi ona w Stanach Zjednoczonych, gdyż tam przed moralną przewagą towarzyszek swych, mężczyźni przywykli już chylić rycersko głowę.

BLUSZCZ

O B R A Z E K Z Ż Y C I A R O D Z I N Y

przez

Maryana Gawalewicz.

(Dalszy ciąg).

Nawet odezwać się nie śmiała z żalu i obawy, że gdyby zaczęła mówić, powiedziałaby pewnie więcej, niżby chciała i powinna.

Ale Grosiecka milczenie synowej tłumaczyła sobie wręcz przeciwnie; uważała to za przyznanie się do jakiejś winy z jej strony, potem znów za ubliżające dla siebie lekceważenie, wreszcie za brak serca dla świekry i dla męża.

— Myślałem ja o innem szczęściu dla ciebie, moje dziecko!—mówiła do syna w coraz rzewniejszym tonie,—ha, coż?... sam tego chciałeś.

Wszystko to było niby na boku, do jej Walerka jedynie mówione, ale z wyraźną intencją, aby ani jedno słowo nie poszło mimo uszu synowej.

Zbudziła się w niej teraz jakaś instynktowa chęć dokuczania, znęcania się w taki mały, niski, niegodny sposób nad Wiennią.

Grosiecki udawał szlachetnego małżonka, który pragnie żonę osłaniać, przyjmując na siebie samego całą odpowiedzialność za jej postępowanie.

— Nie rozumiem, dlaczego się mama nademną znów tak rozczuła,—przerywał matkę,—coż to, czyż nie jestem mężczyzną?... nie mogę znosić gorszych jeszcze rzeczy?...

Byłby niezawodnie zmieszał się i zapominał języka, gdyby go w tej samej chwili czyj głos był przypał:

— A jakich?... coż ty znów tak złego znosisz?... co ci tak bardzo dojadło?... Błady jesteś i poślizkły trochę, ale to nie pierwszy raz przecież, bo ilekroć wróciłeś później do domu, bywałeś jeszcze gorzej zmierzowany. Kto ci kazał do trzeciej nad ranem siedzieć u panny Bianki?...

Zasłepienie macierzyńskie Grosieckiej nie liczyło się jednak z żadną logiką, niedostępne było dla żadnych rozsądnych argumentów; ona uznawała jedynie prawa i przywileje swojego Walerka, o niego jednego jej chodziło, o jego dobro, jego zadowolenie, jego szczęście, jego zdrowie, i jego tylko.

— Nie mów tak, bo tem oprócz matki nikogo nie przekonasz,—westchnęła ciężko,—będą się na ciebie za twoimi plecami skarżyli jeszcze przed obcymi ludźmi, jak się już skarżą.

Grosiecki podniósł na matkę zdziwione oczy, a Wicunia odezawszy głęboko ten pocisk wymierzony ku niej z boku, oblała się rumieńcem i po raz pierwszy odezwała się do świekry:

— A któż to na niego tak się skarży?

Świekra odwróciła głowę jeszcze więcej i z bolesną niby rezygnacją odrzekła:

— Ah, moja droga, nie mówmy lepiej o tem!..

— Dlaczego moja mamę?.. właśnie mówmy, szczerze i otwarcie, przecież jesteśmy w kółku rodzinnym. Jeżeli się Waleremu krzywdą jaka dzieje, to powinnam równie dobrze o tem wiedzieć, jak i mama. Proszę powiedzieć, gdzie, kto i przed kim uskarża się na niego?

Grosiecka zmrużyła powieki, podniosła głowę i jadowite spojrzenie rzuciła w stronę łóżka; myślała, że spiorunuje tym wzrokiem synową.

— I Wicunia się jeszcze pyta o to?... to mnie bardzo dziwi; no!.. także!..

Wykrzywiła swoje wąskie, blade, pomarszczone usta zgryźliwie ironicznym uśmiechem i wstała z godnością macierzyńskiego oburzenia.

Wicunia nie mogła dłużej już tego zcierpieć.

— Więc to ja?... ja mam być tą!..

Zerwała się na posłaniu, pomimo osłabienia i bólu głowy i usiadła, z oczyma błyszczącymi, z rumieńcem na policzkach, z ustami drżącymi od żalu, gniewu i serdecznego bólu.

— Ja się skarzę przed obcymi ludźmi?... ja?... Ależ mamol!.. Kiedy?... przed kim?... o co?..

— Przypomnij sobie lepiej, — wycodziła zjadliwym tonem stara, — jabym plotek nie zносиła wam do domu. Nie dalej, jak przedwcześniej jeszcze... wieczorem... może zaprzeczysz?..

Mierzyła ją przy tych słowach wzrokiem, jakby pogłębić ją chciała za karę w obecności męża.

— Teofil? — jęknęła Wicunia głosem ofiary fałszywie oskarżonej, a Grosiecka uważając to za przyznanie się i potwierdzenie swoich zarzutów, z tryumfem potrząsała głową i wybuchnęła tylko:

— Aha!..

— Ależ mamol! — Bóg widzi, czym choć jedno złe słowo wyrzekła, — spróbowała przekonywać ją Wicunia, — przecież ust do niego nie otworzyłam...

— Tak, tak, — szyderezo przytakiwała świekra, — tak, tak, — prawda!..

Walery stał między matką a żoną i spoglądał to na jedną, to na drugą, brwi marszczył i przybierał pochmurną minę człowieka, który się dowiaduje o zbrodni popełnionej na jego honorze; w głębi duszy zadowolony był, że mu się nadarzała sposobność zatryumfowania nad żoną.

— A, to o pięknych rzeczach mi mama donosi! — niskim, afektowanym głosem zaczął, ale musiał urwać w tej samej chwili, widząc, jak biedna Wicunia w bólu, pod wrażeniem tych niesłuszných oskarżeń, zaciśnięte swe pięści podniosła nagle do skroni i z jękiem:

— Boże, mój Boże! za co ja tyle cierpię?... — wybuchnęła tak żalosnym łkaniem, że aż Grosiecka zmieszana tem, wyszła do drugiego pokoju.

— Niema powodu zaraz spazmować i płakać, — odezwała się niby trochę łagodniej i z perswazją z poza progu; — zdaje mi się, że od matki swojego męża mogłabyś przyjąć taką uwagę. Ja ci przecież w złej myśli tego nie mówię, ale jako matka mam prawo... mam święty obowiązek...

— Niech mamie Bóg tego nie pamięta! — załkała Wicunia i swoją łzami zalaną twarz ukryła głęboko w poduszkach.

Włosy jej się rozrzuciły w nieładzie i spadły na ramiona; drżała na całym ciele i jak biedne, chore dziecko wila się na pościeli.

Maż stał nad nią i nie wiedział, co ma zrobić, czy pocieszać ją i uspakajać, czy zostawić w tym stanie, udając dalej obrażonego.

Poprawił na niej wreszcie kołdrę, która się jej z ramion zsunęła i zdobył się na bezmyślną uwagę:

— Nie odkrywaj się, bo się jeszcze zaziębisz!..

Zdawało mu się, że tem daje dowód szczególniejszego współczucia i troskliwości o jej zdrowie.

Zawstydzony był jednak i zmieszany.

Oczuł się w fałszywej pozycji pomiędzy matką a żoną; za mało miał czelności, aby stanąć po stronie pierwszej i za mało uczciwości, by bronić drugiej i przyznać się do winy.

Ta cała scena sprawiała mu więcej kłopotu, niż moralnego cierpienia; z kolei teraz miał niemal

urazę do matki, że tak nie w porę sprowadziła mu nową kollyzję, zanim po pierwszej awanturze małżeńskie ochłonał.

Grosiecka zaś słowami synowej uczuła się głęboko dotkniętą.

— Czegoż to mi Pan Bóg ma nie pamiętać?... — mówiła wyniosłe, — cóż to ja zgrzeszyłam takiego?... to mi się podoba!.. Patrzcież państwo!.. aż do Pana Boga mnie odsełają. No!.. także!.. tegom się doczekała na moje stare lata!..

Zaczęła wiązać szybko wstążki u kapelusza pod brodą i rozwiązywać, bo jej się palce trzęsły z irytacji i nie zważając już na szlochanie Wicuni, dochodzące ją z drugiego pokoju, mamrotała ciągle coś pod nosem rozżalona i zła.

— Bądźcie zdrowe, dzieci! — zwróciła się do Tatusia i Munia, chcąc je ucałować na pożegnanie, — nie prędko tu babcię znowu zobaczycie, o nie!..

Nachyliła się nad starszym wnukiem, ale Kazio wymknął jej się z rąk i z buzią zadąsaną, z czołkiem zmarszczonym nad brwiami, z minką pochmurną, łypiąc powiekami, odsunął się od niej, oparł plecami o ścianę i nie chciał się dać pocałować.

— Nie kocham babci!.. — z urazą mówił — co babcia mamie zrobiła, że mama znowu tak płacze?... nie potrzebuję... ja nie chcę!..

Munio siedział z rączkami złożonymi i skubał sobie pulchne paluszki na dowód zakłopotania; twarzyczkę miał smutną, wystraszoną, z pod oka tylko rzucił spojrzenia to na babkę, to na starszego brata, nie mogąc się nadszwić jego odwadze.

On byłby się także przyznał do tego, że babci teraz nie kochał, choć mu przyniosła biszkopty, ale nie śmiał tak otwarcie, jak Kazio objawić swoich uczuć.

Serduszek mu biło i trzęsło się, jak pisklę z gniazda wyrzucone.

Tak mu żal było mamusi, tej jego biednej mamusi, którą w tych dniach ciągle widział płaczącą i chorą, jak mu mówili, że stracił cały humor do figlów i zabaw, i do biszkoptów, i do pocałunków babci; więc teraz, jak gdyby się obawiał, że zechce go uściskać, widząc ją zbliżającą się ku sobie, zeskokczył nagle z krzesła i pędem pobiegł do drugiego pokoju, przytulić się do matki.

Instykt dzieci najsprawiedliwiej rozsądził tę kwestję, komu należało się więcej współczucia i sympatii w takiej chwili, a Grosiecka po raz pierwszy na seryo uczuła w sercu ból, gdy zobaczyła, że wnuczka od niej uciekają i tracą do niej zaufanie.

W oczach jej stanęły łzy i rozplakała się inaczej, niż dotąd, — szczerzej i poeciwiiej; ale już nie wypadało jej przyznawać się do tego i z dziećmi prowadzić sprawy, wyszła też bez pożegnania, zarzekając się w duszy, że noga jej tu więcej nie poстане.

— Kiedy tak, to tak!.. Pan Bóg mi to ma nie pamiętać?... a cóż ja znowu za zbrodnię popełniłam?... Jakże ona śmie mnie, starej kobiecie, coś podobnego mówić!.. a on nawet się nie odezwał?... nawet jednym słówkiem nie stanął w obronie matki, tak?... Dobrze... dobrze! już i jego mi przemieniła, i dzieci, i wszystko, nie mam nikogo więcej, sama jestem, sama, jak palec na stare lata!..

Szła pochylona i w ten sposób mówiła do siebie, coraz głębiej przejmując się swoją sytuacją, coraz więcej nabierając przekonania, że ze wszystkich ona jedna teraz jest najniešťęśliwszą, najbardziej pokrzywdzoną w życiu i najwięcej litości godną.

Nie przyszło jej jednak do głowy, że pozostawiła za sobą i smutek, i cierpienie, i zawód, i rozterkę stokroć większą, bez pociechy, bez słowa współczucia, bez wszelkiego oparcia.

Jedna z tych najcięższych a upartych myśli, które wracały ciągle do głowy zbiedzzonej Wicuni była:

— Mój Boże, jaka ja jestem sama w mojej niedoli!.. sama i sama, bez jednej duszy zaufanej, bez podpory, bez porady. Ani komu się pożalić, oprócz Boga, ani przed kim się zwierzyć, ani do kogo się uciec.

Wobec obcych była zawsze zamkniętą w sobie i nieśmiałą; teraz po tak dotkliwym wyrzucie ze strony świekry, tem bardziej nie byłaby ust nawet otworzyła ze skargą.

Miała uczucie, jak gdyby jej w świeżą ranę nasypiano ostrego piasku i zabroniono syknąć z bólu.

Przed siostrą ukrywała się dotąd; wstyd jej było oskarżać dzisiaj tego samego męża, którego tak bardzo przed Stasią wychwalała dawniej, tak gorąco potem broniła, tak zawsze usprawiedliwiała, nazywając się szczęśliwą, jeszcze wtedy nawet, gdy o tem szczęściu sama w głębi duszy zaczęła już wątpić.

Nie chciała usłyszeć owych upokarzających słów: — A widzisz!.. a uważałaś go za swój ideał, a byłabyś do oczu skakała, gdy kto na twego Walerka co złego powiedział!.. widzisz, jaka byłaś zaślepiona!.. Ja się już dawniej od ciebie na nim poznałam.

Kiedy kochające serce się skarży i wyrzeka, to szuka pociechy w perswazyi, w zaprzeczaniu sobie, w dowodzeniu, że się myli, że źle patrzy, że przesadza nawet, i mniej go boli, kiedy mu dowodzą, iż jest niesprawiedliwe, aniżeli gdy z niem razem biadają i potwierdzają mu wszystko, i potępiają z niem razem, i wyszukują wśród złego co najgorsze jeszcze.

Chyba przestało kochać zupełnie, zaciekle się w gniewie, zawzięło raz na zawsze i mścić się pragnie za swoją urazę, za swoje krzywdy, nieprzejdane, gniewne, oburzone, ale nie bolejące zranioną, lecz żywą jeszcze miłością.

A ona jednak tego Walerka kochała dotąd ciągle, choć przez niego tyle wycierpiała i wycierpieć miała jeszcze więcej; jej było z tem złe, że musi się skarżyć na niego a jeszcze gorzej byłoby, gdyby go potępiano przy niej i sądzono surowo, choćby i najsprawiedliwiej.

Babka Lidzka od początku miała i tak uprzedzenie do męża swej wnuczki; zawsze znajdowała sobie coś do robienia uwag i wyrzutów, zawsze go podejrzewała o coś złego, domyślała się nieraz więcej, niż było w istocie, a do Wicuni odzywała się, jakby z urazą:

— Ha, trudno, moje dziecko, zachciało ci się wyjść za artystę!.. masz męża według swego gustu, któż ci winien, jeżeli nie jesteś z nim szczęśliwą.

— Ależ babciu, ja się nie nie skarżę! — zaprzeczała jej wówczas, — któż mówi, że jestem niešťęśliwą?

Lidzka kiwała głową, wzdychała i nie przekonana ani jej tonem, ani uśmiechem, ani zapewnieniami żadnymi, zmysłem doświadczonej kobiety odgadywała prawdę i mówiła:

— No, no, no!.. daj pokój!.. ja cię znam i co widzę, to widzę. Ten twój Walerek to nie taki mąż, jakiego ci było potrzeba. Ot, co tu gadać!.. wybrałaś go sobie sama i uparłaś się, aby cię za niego wydać. Mam przynajmniej czyste sumienie, że was nie swatała.

— Babcia ma uprzedzenie do niego, — wtrącała wtedy i urywała rozmowę na ten temat, aby unikać drażliwych wyjaśnień i dyskusji.

Nie przewidywała jednak, że znajdzie się w położeniu, w którym będzie zmuszoną przyznać słusność i babce, i siostrze, rozczaruje się sama do reszty, a wtedy przez zaciśnięte z bólu usta nie będzie nawet śmiała przyznać się przed niemi do tego.

O ostatniem zaściem chciała również zamilczeć i szukała wymówek zbyt niezręcznych i naiwnych, aby im Stasia i Lidzka uwierzyć mogły.

— Słaba jestem, — mówiła im, gdy ją odwiedziły i zastały w łóżku przy zapuszczonych storach, z głową obwiązaną chustką, z pod której wзираły płatki cytryny przykładanej na skroniach.

— Cóż ci się stało?

— Nie wiem sama, słaba jestem.

— Boli cię co?

— O, boli! — i mimowoli zdradzała się głosem, wyrazem twarzy, łzami w oczach i tem tłumionym łkaniem, które w jej piersiach tkwiło.

Jeszcze najlepiej było, gdy mogła mileć.

— Posełałaś po doktora?

— Nie, na co?... co mi doktor pomoże?..

— A cóż ci jest?

— Czy ja wiem!..

Babka nie dawała się złudzić; osowiałe miny sług, smutne twarzyczki dzieci, nieobecność Walerka, który unikał spotkania z rodziną żony i pod pozorem lekcji nie wychodził do nich z salonu, wszystko ją rychło naprowadziło na ślad prawdziwej przyczyny rozstroju i rozdrażnienia Wicuni.

Ona sama zaś milczała o tem; nie odzywała się prawie do nich, zapadając w swoją pośepną zadumę i kontenta była, gdy odchodziły, zalecając jej rozmaite domowe leki i przyrzekając odwiedzić ją znowu.

Tak minęło dni kilka.

Mąż wciągnął się napowrót w swoje codzienne zajęcia, przyjmował uczni i uczennice, wychodził na lekcje, wieczora ni wracał jednak do domu i z miną zachmurzoną przesiadywał w swoim pokoju; — poświęcał się.

Przez całe dni jednak nie zamienili nieraz ani słowa z sobą; jak dwoje ludzi obcych patrzali na siebie.

Zdawało się, że wyczekują czegoś, co rozstrzygnie nareszcie o ich dalszym losie.

Z poza zamkniętych drzwi do salonu słyhać było niekiedy rozmowy swobodnej, żarciki i śmiechy uczennic i uczniów, świadczące, iż dobry humor wracał panu profesorowi, ale gdy po lekcji wchodził do pokoju żony, fałdował znowu czoło i przybierał swoją minę nadąsaną, chmurną, jakgdyby mu widok jej przypominał jakąś ciężką urazę, żywioną w sercu.

Dostrzegała to za każdym razem i czuła się bardziej zgnębioną.

— Gniewa się na mnie, — mówiła sobie, — patrzeć na mnie nie może!.. com ja mu złego zrobiła?..

Usuwała mu się zatem z oczu i chowała po kątach, jakby była winna na prawdę, byle go tylko nie zrażać jeszcze bardziej ku sobie.

Chciałaby była uczynić się całkiem niewidzialną, zając jak najmniej miejsca w domu, zniknąć zupełnie.

Chwilami przychodziła jej rozpaczliwa myśl do głowy:

— Gdybym ja mogła umrzeć!.. — tak jej źle było, tak jej to życie ciężkie zaczynało, ale względ na dzieci oprzytomniał ją od razu.

Nie, o tem nie wolno jej było myśleć!.. miała obowiązki święte, ważne, nie zastąpione, których nikomu powierzyć nie mogła.

A jednak życie traciło dla niej swój powab, chociaż tak mało go dotąd użyła, tak mało poznała.

W tej jednej miłości zamknęła wszystko i wszystkiego się od niej spodziewała, więc kiedy z ułudnych snów zbudziła ją rzeczywistość, zdawało jej się, że straciła coś najdroższego, swój talizman szczęścia.

Próbowała brać na rozum niekiedy ten cały wypadek i zastanawiała się, czy rzeczywiście powinna przejmować się tak bardzo sprawą, która w gruncie rzeczy może być tylko błahym epizodem w ich małżeńskim pożyciu.

Sam fakt kokietowania Walerka przez włoską primadonnę jeszcze niezegoby nie dowodził; tych kilka kwiatków, ten włos, ten wieczór jeden spędzony zapewne w jej towarzystwie, to znowu nie tak poważnego, — mówiła sobie

W teatrze takie rzeczy zdarzają się często, to inny świat, inni ludzie, inne zwyczaje, inne pojęcia przyzwoitości.

Tak, zapewne, ale ten fakt z Signorą Bianką schodził na drugi plan, wobec ważniejszej sprawy, — odsłonił jej właściwy grunt duszy i charakteru męża, który ją okłamywał, który się przed nią ukrywał a domysłność zaniepokojonego serca improwizowała na tym motywie coraz czarniejsze obrazy zdrady i wiarołomstwa.

Zresztą, i o to mniejsza, gdyby z ust jego własnych nie była usłyszała, że stanowiła dotąd nie szczęście, nie rozkosz, nie zadowolenie, ale zawadę jego życia, tamę, o którą rozbili się jego ambicje, dążenia, ideały artystyczne.

Powiedział jej to sam, cisnął jej w oczy ten zarzut z taką goryczą, z takim oburzeniem, z takim wybuchem, że musiała temu uwierzyć.

I od tej chwili, w której straciła przytomność, obudziła się z omdlenia, jak kwiat złamany, jak roślina podcięta, z tą jedną, gryzącą, nurtującą jej duszę, myślą:

— Los mu zepsułam, życie mu zawiązałam, jestem mu kulą u nogi!..

Przestawała mieć do niego pretensję o rzecz tak drobną, jak owo kłamstwo, którem chciał osłonić swoją znajomość z przyjezdną primadonną, a miała

tylko cichy głęboki żal o tę gorzką prawdę, którą wy dobył z niego przypadek.

Zdawało jej się, że o Biankę — Bianchi nie była już zazdrosna.

W Kuryerze szukała jednak teraz wzmianek o niej, odczytywała z uwagą recenzji o jej występach, troszczyła się nią, jakgdyby ją znała i wyszedłszy po raz pierwszy z domu, poszła natychmiast pod teatr zobaczyć jej fotografię wystawioną w oknie redakcyi.

Wpatrywała się w tę swoją rywalkę długo, starając się z rysów jej twarzy wyczytać wszystko, co ta namiętna, południowa, wyzywająca fizyognomia w sobie miała.

Serce jej biło, gdy stała tak przed wystawą sklepową jak zahypnotyzowana i z miejsca ruszyć się nie mogła.

Powróciła do domu rozdrażniona i niespokojna. Jedno ją tylko pocieszało.

Oto zauważyła już parę razy, że Walery siedział w domu tego wieczoru, w którym Bianchi śpiewała; umyślnie nie chodził do teatru, opuszczał operę, jakby dla okazania żonie, że mu występy włoski są obojętne.

Wdzięczną mu niemal była za to i ciągnęło ją coś, aby wejść do jego pokoju, zbliżyć się nieśmiało, jak cień, klęknąć przy nim i całując go pokornie, wyszeptać:

— No, nie gniewaj się już!.. przebac mi!..

Nie mogła się jednak zdobyć na to sama, więc posłała dzieci, mówiąc im:

— Idźcie do ojczulka!.. popieście się z nim, ucałujcie go. Ojczulek tam sam siedzi, to mu pewno smutno.

I dzieciaki biegły zachęcane przez matkę z radością, nadstawiając swoje uśmiechnięte buziaki, ale po chwili wracały zasmucone z wiadomością:

— Ojczulek powiedział, żeby mu teraz nie przeszkadzać, bo zajęty!.. nie można męczyć ojczulka.

Wicuni bolesna myśl przechodziła przez głowę:

— Już i dzieci przestaje kochać!..

Któregoś dnia nad wieczorem, dzwonek u drzwi zadzwieczał nagle; służącej nie było w domu, Walery sam wstał od biurka i poszedł otworzyć.

W przedpokoju dał się słyszeć szelest jedwabnej sukni i głos kobiecy.

Jakiś dziwnym przecuciem zadrgało serce Wicuni.

Wyteżyła słuch i próbowała złowić choć pojedyncze wyrazy z rozmowy, prowadzonej przez męża z przybyłą w obym języku.

Wydał jej się zmieszany; szybkim, przeciśnionym szeptem odpowiadał na pytania, głos jego brzmiał jakby radością, zdziwieniem i zakłopotaniem.

Po kilku chwilach wprowadził kogoś do swojego pokoju i drzwi z obu stron pozamykał.

Przez ściany gabinetu niewyraźnie dochodziła rozmowa; kobiecy głos chwilami podnosił się, ozywał, nabierał jakiegoś wyrazu nalegania i wyrzutu a potem zniżał się znowu i tajemniczo coś szeptał.

Trwało to kilka minut zaledwie; ale Wicuni wydały się zaraz godziną całą.

Podsunęła się na palcach pode drzwi od przedpokoju i przystanęła.

Rozpoznała tyle, że rozmowa toczyła się po włosku.

Nagle drzwi się otworzyły, tajemnicza dama z szelestem wysunęła się z gabinetu a za nią Walery wyszedł spiesźnie, zarzucił na siebie palto, wziął kapelusz i wyszedł z nią razem, zatraskując drzwi za sobą.

— To ona! — przemknęło Wicuni przez serce; odgadła raczej, niż poznała swoją rywalkę.

Machinalnie weszła do gabinetu męża!..

Na biurku paliła się jeszcze lampa, odsunięty od ściany fotel stał obok otomany, w bocznej szufladzie biurka tkwiły zapomniane przez Walerego kluczyki.

W pośpiechu i roztargnieniu zostawił je w zamku; tak mu pilno było wyprowadzić swojego gościa.

Wicunia zatrzymała się na środku pokoju, w którym pozostał jeszcze silny zapach perfum po tajemniczej damie!..

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dla ubogich dziewcząt.

Człowiek myślący i noszący w sobie iskrę bożą nie może pozostawać obojętnym na upadek moralny i śmierć głodową bliźnich, musi uznawać konieczność wspierania nędzy. Ale moralnym obowiązkiem każdego wspierającego jest tak kierować swoją pomocą, aby przedewszystkiem dostawała się istotnie potrzebującą a następnie, aby prawdziwy przynosiła pożytek, iżby nędzy, którą widzimy dziś, nie było jutro. Dla tego też dobroczynność publiczna, wspierając nędzę istotną, musi jednocześnie dążyć do tego, aby wyrwać z koła wiecznych braków, wszystkich tych, których wyrwać można, powracając ich społeczeństwu jako ludzi pracy, aby nie pozwolić nędzy rekrutować swe zastępy nowymi szeregami ofiar. Niedosć doraźnie zaspokoić komu głód i pragnienie, ale należy stworzyć dla niego nowe warunki, któreby zapobiegały niedoli na przyszłość. Niełatwe to zadanie; ale tylko tak pojeźta pomoc na miano *dobroczynności* zasługuje. Dobroczynność, która wspiera żebrzącego próżniaka, dając mu od czasu do czasu kęs chleba, czyni mało a nawet nieraz źle; wówczas kiedy ta sama dobroczynność, rozsądnie skierowana, mogłaby z materiału, przeznaczonego przez losy na nędzną vegetację lub na zatrącenie, powrócić społeczeństwu tysiące pożytecznych jednostek.

Nieraz daje się słyszeć tklive współczucie w ustach przechodniów dla bosych, obdartych ulicznych żebraków. Lecz obdarzając ich śpiesznie jałmużną nie zdajemy sobie sprawy, co oni robią po za żebraniem, do jakiego zajęcia mogliby być zdolni, a nie pomyślimy nawet o tem, aby tego ulicznika, częstokroć ucznia żebranki przemienić na dobrego służącego, przekształcić na zdolnego rzemieślnika.

Ileż to zamożniejszych kobiet prawie bez namysłu wypróżnia swe sakiewki na drobne wsparcia dla ubogich dziewcząt, natrętnie pod rozmaitymi pozorami upominających się o jałmużnę, lecz ani pomyśli o sposobie chroniącym te biedne dziewczęta od stopienia uczuć moralnych, od zagłady fizycznej i moralnej, a w końcu od wytworzenia sobie procedury z żebranki, tak lub owak upozorowanej co na szerszą skalę stosowane bezwarunkowo przedstawi poważną cyfrę passywów, poprostu wyrzuconego grosza w budżecie miasta lub kraju.

Nędza jest to ciężkie cierpienie społeczne; nie jesteśmy w stanie zapobiedz mu całkowicie, leczyć go u źródła we wszystkich wypadkach, — podobnie jak pedantycznie przeprowadzone zasady higieny nie usuną trapiących ludzkość chorób i śmierci, a tylko znacznie ograniczyć je mogą. Przypadki, nieszczęścia, choroby, niemoc fizyczna, sieroctwo w dzieciństwie i t. p., wytwarzają ubóstwo i nędzę; tym warunkom żadna siła nie zapobiegnie; ale są i przypadki uleczalne, nawet dużo ich pośród nędzy i żebractwa znaleźć można. Dla tego też dobroczynność ma dwa zadania: *miłosierdzie* i jałmużnę dla nieuleczalnych, niezdolnych do pracy biedaków, kalek, starców, małych dzieci i *spożytkowanie sił* zdolnych do pracy, wytworzenie zastępu zdrowych, moralnych, pilnych fachowych pracowników, sobie i ludzkości miłych i pożytecznych.

W Warszawie, jak w każdym dużym mieście, nędzy jest nie mało; nawet najściślej zestawienia statystyczne dadzą pod tym względem zaledwie przybliżone pojęcie. Pośród tych biedaków najliczniejszym i najsympatyczniejszym żywiołem są sieroty — dzieci.

Głęboko odczuwają wszyscy zapewne, że ubogie dzieci są właśnie najlepszym materiałem w całym wirze nędzy, z którego najłatwiej jeszcze coś wyrobić, nadać pewien kierunek, ponieważ na dziecku bieda i głód nie zdołały wycisnąć tego piętna swoich ujemnych stron, jakie zazwyczaj starsi już posiadają.

Do napisania tej pogawędki o racjonalnej pomocy skazanym nieraz na zagładę nędzarzom, przyszła nam myśl po przeczytaniu, tu i owdzie od paru tygodni ukazujących się w pismach warszaw-

skich wzmianek słusznych i przychylnych w tej sprawie.

Oto okazało się, że w niewielkim lokalu przeznaczonym dla starców i kalek, pozostających pod opieką warszawskiego towarzystwa dobroczynności, gdzie z powodu braku miejsca i środków bardzo wielu niedoświadczonych biedaków dostaje odmowne odpowiedzi, gdy im idzie o przytułek i jaką taką wegetację — że w tym oto lokalu znajduje się w niepożądanym stanie druga, ważniejsza może dla ogółu instytucja, w której ubogie osierocone od dzieciństwa dziewczęta znajdują troskliwą całkowitą opiekę i uczą się najprostszych robót w zakresie gospodarstwa domowego i szycia.

W tej oto instytucji, która zabiera miejsce skazanym na dożywotnią wegetację biedakom, również brak miejsca daje się czuć bardzo dotkliwie. Wpływa to na znaczne ograniczenie ilościowe w przyjęciu do zakładu; rokrocznie wielu chętnym dziewczętom odmowa może na całe życie zwiechnie przyszłość, odbierając im możliwość kształcenia się w zakresie dla nich najodpowiedniejszym i do tego pod ciepłym i moralnym kierownictwem. Szczupłość mieszkania i niewygody pewne pociągają jeszcze inne złe skutki: brak powietrza, a właściwiej mówiąc — brak dobrego powietrza. Ztąd też w niewielkim stosunkowo gronie małych pracowników rzadko spotkać się daje czerstwego buziaka o żywszem spojrzeniu; blade, skrofaliczne twarze o apatycznym wyrazie, lichy ogólny wygląd dzieci wszystko to odrazu każe się domyslać, że brak im podwójnego i ruchu, tak niezbędnego dla każdego rozwijającego się organizmu. Ta grzeszność, cichość, nieśmiałość, pokora przebijająca w ich zachowaniu się z pewnością nie tyle wynika ze ściśle utrzymywanego rygoru wychowawczego, ile z podupadłego stanu ogólnego zdrowia dzieci, słabego rozwoju ich mięśni, z braku ruchu, zapewniającego równowagę umysłową.

A czemu jest ta instytucja, jaki jej cel? Nie tylko wynikający z tliwości serca przytułek dla osieroconych dziewcząt. Zakładający tę instytucję i dbający o jej pomyślność ożywiają i ożywia zawsze ta myśl, że ów materiał ludzkich piskląt, skazanych często na fizyczną lub moralną zagładę, wytworzy w przyszłości pokolenie dobrych i moralnych służących, których brak tak dotkliwie uczuć się daje. Każda gospodyni dobrze ocenić może w duchu ten skarb, jakim jest dobra, uczciwa i znająca swe zajęcie służąca. Ale czy w tych warunkach jakie są obecnie wychowywana dziewczynka, może być prawdziwie *dobrą* służącą, pomimo wielkiego nakładu pracy wychowawców? Wątpię, bo brakuje jej zdrowia, siły do pracy, wytrzymałości. Jestto w każdym razie praca fizyczna, a bez siły fizycznych jakże jej podołać można.

Jeżeli znaleźli się inicjatorowie tej prawdziwie dobroczynnej instytucji, to nie należy wątpić, że wobec złych warunków obecnego jej pomieszczenia, które dawałoby skutki sprzeczne z założeniem i celem zakładu, znajdują się ludzie dobrej woli i odpowiedzialnych środków, którzy w imię ogólnego dobra postarają się o postawienie sprawy w takich warunkach, aby całkowicie założeniu odpowiadała. Zakład taki może się pomyślnie rozwijać tylko w obszernym i wygodnym pomieszczeniu, z dobrą wentylacją, obszernym podwórkiem lub lepiej ogrodem. Takie locum rychło wynaleźć należy, lub lepiej wybudować nowe z uwzględnieniem wszelkich potrzeb tej istotnie dobroczynnej instytucji, przytułku i szkoły fachowej zarazem. Jest też wiele prawdopodobieństwa że w krótkim czasie nasze życzenia spełnionymi zostaną, albowiem znalazło się już grono osób, które z gorliwością myślą o tej poważnej i szlachetnej sprawie.

A. Ch.

Z podróży po Brazylii.

Przebrzmiały już echa wiadomości z Brazylii o smutnych losach naszych wychodźców; znane są opisy podróży, tam odbytej przez Dygasińskiego

i ks. Chełmickiego, jednak interesującym może będzie dla naszych czytelników opis wrażeń podróży po Brazylii, z innego punktu widzenia, skreślony przez kobietę, cudzoziemkę p. Rozenheim.

Zegar wskazuje jeszcze bardzo wczesną godzinę — zaledwie piąta dochodzi. Słońce nie ukazało się na horyzoncie, jesteśmy bowiem w połowie Lipca, czyli w środku brazylijskiej zimy. Pomimo jednak szarego porannego zmierzchu na banhofie w San Paulo panuje szalony zgiełk i ruch, za chwilę wyruszyć ma pociąg w głąb kraju. Ludzie tłoczą się, śpieszą, pytają i cisną do tego stopnia, że z trudem zaledwie dostać się można na korytarz wagonu pierwszej klasy. Seisk w wagonach, przy natłoku pasażerów, powiększają piętujące się stosy ręcznych kuferków i pudełek do kapeluszy, tamując tak na platformie jak i w wagonach swobodny ruch osób. Szczęśliwym trafem znalazły się jeszcze dwa wolne miejsca w przedziale, lecz niemożliwy był dostęp do nich dla kobiety, należało przebrnąć przez nagromadzone pakunki. Brat, towarzysz mojej podróży, pozostał jeszcze przy kasie biletowej — co tu robić? Los sprzyjał mi widocznie. Jakiś Brazylijczyk spostrzegł moje zakłopotanie, i z godną europejczyka uprzejmością, przychodził mi z pomocą, torując drogę o ile to było możliwym. Nareszcie przebrnąłem i usiadłem! W tej samej chwili zjawia się brat mój, uszczęśliwiony widokiem wolnego dla siebie miejsca. Wkrótce daje się słyszeć świst, pociąg rusza.

Na razie nie godnego uwagi, monotonna jazda niczem prawie nie urozmaicona, staje się stopniowo więcej zajmującą, im dalej posuwamy się w głąb kraju. Od Kampinos ciągną się na kilka mil, wzdłuż linii drogi żelaznej, ogromne plantacje kawy, dalej przerzynamy wielkie przestrzenie wypalonych preri wśród których ukazują się spróchniałe pnie o dziwacznych kształtach. Na tych olbrzymich przestrzeniach nie widać wcale ludzkiej siedziby. Dla tego też ogień wzniesiony tu iskrą z lokomotywy krąży i rozprzestrzenia się z całą swobodą, jakby nie wyrządzał żadnych szkód, zmieniając w jednej chwili łąkę w gorejące morze.

W wagonach panuje niemożliwy upał, wszystkie okna pozamykane z powodu czerwonego pyłu unoszącego się w powietrzu, większa część podróży, a my w ich liczbie, wolimy stać na platformie, co nam ułatwia obserwację miejscowości. Zatrzymujemy się na przystanku, pociąg stoi minutę. Chwila ta wystarcza, aby zaopatrzyć się w filiżaneczkę wybornej kawy przyrządzonej i rozstawionej na tacach, przez siedzących obok na ziemi murzynów. Przedewszystkiem jednak nęci ku sobie malowniczy niezwykle obraz nad którym radby każdy dłużej zatrzymać oko, ale krótki przystanek na to nie pozwala. Co za różnorodność typów i ubiorów!

Stary facendero właściciel plantacji kawy z głębi kraju, wraz ze swym synem studentem z San Paulo, witają brata mego. Facendero nosi ubiór miejscowy, ponsę — krótką pelerynę brązowego koloru, przybraną wzorzystym różnokolorowym szlakiem o deseniach naśladowującym zwierzęce kształty, lub przedstawiającym fantastyczne arabeski. Ponsza taka ma pośrodku otwór czyli rozporek i wkłada się przez głowę. Towarzyszący mu młodzieniec o smukłej kształtnej postaci obwinięty był w ciemny szeroki płaszcz, jednym końcem w tył przez ramie zarzucony, pasową podszewką podszyty i ozdobiony kilkoma kołnierkami z których jeden od drugiego węższy. Szeroki kapelusz, nieco na bok z fantazją ułożony, oceniała interesującą o delikatnych rysach twarz jego, opromienioną wejrzeniem pięknych ciemnych oczu, pełnych blasku i wdzięku. Istna postać Don Juana.

Przystanek pełen ożywienia, kręci się i biega tłum murzynów i murzynek, jedni brudni i obdarcy, inni zaś przesadnie po europejsku ubrani. Nie bardziej śmiesznego jak taki czarny modniś elegancko ubrany, w jaskrawo pasowym krawacie ozdobionym kosztowną szpilką i z cylindrem na kędzierzawej głowie.

Pociąg rusza, już kilka minut dzieli nas od stacyi, nagle w sąsiednim wagonie drugiej klasy powstaje ruch, drzwi na przeciwko nas umieszczone otwierają się gwałtownie i z krzykiem wybiega na platformę wagonu wieśniaczka ze swą małą płaczącą córeczką i błaga konduktora na wszystko, aby

pociąg zwrócił na poprzedni przystanek. Tam właśnie miała wysiąść, przeoczyła jednak napis stacyi, a bezwarunkowo musi przed wieczorem zdążyć na miejsce przeznaczenia. Konduktor nie może zaradzić — lecz jako prawdziwy brazylijczyk pozostaje uprzejmym dla kobiety. Zwabieni jej lamentem towarzysze podróży opadają konduktora i popierają prośbę, aby dopomógł biednej kobiecie. Konduktor, człowiek ludzki, hamuje pociąg, porozumiewa się z maszynistą i wracamy spokojnie na przystanek. Uszczęśliwiona wieśniaczka wysiada bełkocząc słowa dziękczynne, wszyscy pasażerowie składają uprzejmie głowy na pożegnanie, ona zaś chustką powiewa i patrzy za nami dopóki pociąg nie zniknął jej z oczu.

W Europie zdarzenie takie jest wprost nie możliwe, nie pozwalają na to nasze stosunki i ustalone porządki konieczne. Jednak brazylijski, starodawny tryb życia, czarując uprzejmy sposób zachowania się prostego człowieka, swobodny niewymuszony stosunek pomiędzy różnymi klasami społeczeństwa stoi w sprzeczności miłe czytającej wrażeń z tem do czego u nas przywykliśmy. W Brazylii nie znaną jest owa wspaniałość miślna grzeszność możnego względem niższego, pełnego pokory i uniżoności; pomimo znacznej różnicy majątkowej biedny nie czuje się poniżonym, gdyż bogaty nie daje mu uczuć tej różnicy, nie wywyższa się. My zwłaszcza mieliśmy sposobność poznać, podczas naszej długiej podróży koleją, ową uprzedzającą uprzejmość brazylijską i jej doświadczyc. Zapomnieliśmy zupełnie zaopatrzyć się w niezbędny prowiant, co koniecznem jest ze względu na krótkie zatrzymywanie się pociągu na stacyach.

Słońce było już wysoko na niebie, głód dokuczliwy dawał się we znaki a nie było czem go zaspokoić. Sąsiedzi nasi obyć z warunkami miejscowej podróży, zaopatrzeni na taką ewentualność, zdejmują koszyki, odpakowują i rozkładają przekąski, odkorkowują butelki, — mnie, na ten widok, ślinka do ust idzie i głód bardziej dokucza a przeczuwam męki głodnego obok uczyty. Lecz o radości, oni wbrew mojemu oczekiwaniu zamiast zabrać się do spożywania darów bożych, przedewszystkiem zachęcającami poruszeniami rąk zapraszają nas do udziału w spożyciu przekąsek. Naturalnie, naszym zwyczajem, ceremoniuujemy się, lecz dzięki ich uprzejmości i gościnności zaspokajamy głód.

Po południu przybywamy na większą stację, gdzie można dostać obiad table d'hôte. Co kraj to obyczaj, zamiast gościowi podawać półmisek, lokaje sami nakładają potrawy na talerze, wymieniając jednocześnie i głośno jej nazwę.

W największym pośpiechu zjada się pięć mięsnych potraw z jarzyną, bez zmiany talerza, noży i widelców, — zaledwie przy słodkim daniu zmieniają nakrycie. Wyborna czarna kawa, nadzwyczaj mocna, dobrze osłodzona, stanowi zakończenie obiadu.

Około wieczora przybywamy do celu. Zarządzający plantacją został zawiadomiony telegraficznie przez właściciela pozostałego w San Paulo, o naszym przybyciu, na dworcu kolei oczekuje na nas „troli“ używany w głębi Brazylii lekki wehikuł o podwójnym zwykłym siedzeniu w kształcie skrzyni na desce umieszczonej. Wolimy jednak odbyć pieszo niewielką przestrzeń dzielącą nas od dworu, aby rozruszać zesztyniałe w skutek długiej jazdy członki. Pobudzeni orzeźwianiem powietrzem, rażno idziemy ku wiosce na los szczęścia, przechodzimy obok schludnych domków złożonych z sypialni i kuchni z których każdy służy na mieszkanie dla jednej rodziny kolonistów. W około rozlegają się pola zasadzone kukurydzą, grochem i jarzyną z rodzaju marchwi zwaną Manioką oraz zielone łąki na których pasą się muły, konie i bydy: po za tem, jak daleko sięgnie oko, na wszystkie strony rozciąga się kawowa góra, a obok niej stoi „sitio“ dworek wiejski. Tam zdążamy z nie małą obawą, a niepokój wzmagają się w miarę zbliżania do celu. Jakże przyjemne było nasze zdziwienie gdy po otwarciu drzwi daje się słyszeć na powitanie nasz ojczysty język. Natychmiast, pomimo bliskości dziewiczego lasu i pustkowi, niepokój nasz ustaje. Poczciwi ludzie otoczeni gromadką zdrowej dziatwy, oddają z nadzwyczajną gościnnością do naszego rozporządzenia wszystko co zawiera ich

kuchnia i piwnica, lecz my prosimy tylko o mydło i ciepłą wodę, gdyż czerwony pył osiadł na naszych rozpozgodzonych lecz bladych twarzach, zmienił nas literalnie w czerwonoskórych.

Następnie wszyscy wybraliśmy się na kawową górę. Jakże zachwycająco pięknym jest widok takiej plantacji. Jak daleko sięgając okiem widzi się tylko świeże zielone gałązki krzewów kawowych piramidalnego kształtu, — nie więcej tylko krzewy, kawowe ciągnące się z dołu ku górze i z góry na dół w prostych rzędach aż do samej granicy, dziewiczego lasu a liczba tych krzewów jednej plantacji dochodzi do stu tysięcy sztuk. Nasz przewodnik, uradowany naszym szeszerym zachwytem, a przede wszystkim uszczęśliwiony przybyciem swych ziomków, chętnie ofiarował swój czas i osobę do naszego rozporządzenia, a ja natychmiast biorę go za słowo.

Objawiłam chęć poznania w jaki sposób rozwija się roślina kawowa i jakie przechodzi koleje aż do chwili gdy ziarno dostarczy wyborowego napoju tak rozpowszechnionego, a który w mojej ojczyźnie ma moc przyciągającą na poufną pogawędkę. Spełnił moją prośbę i zwrócił się najpierw ku szkółce tej rośliny. W gliniastej ziemi, mocno pąsowo zabarwionej „terra roxa“ gruncie podatnym najbardziej na uprawę kawy, bogatym w mineralne pożywne materię, kopią głęboko, i sieją ziarenka kawy. Żadna ludzka latorośl nie może być pielęgnowana troskliwej z przyświeceniem na świat jak ta mała roślina z ziemi wyrastająca. Osłania się ją łodygami kukurydzy aby zabezpieczyć tak od palących promieni słońca, jak również od zbyt ostrego powietrza, a niekiedy sadi się także, tuż obok drzewo rycinowe, bardzo szybko rosnące. Po dwóch latach młode kawowe krzewy przesadza się na kawową górę i cztery do pięciu razy w ciągu roku oczyszcza starannie, a w piątym roku licząc od zasiewu zbiera się plon ze swych trudów. Przede wszystkim jednak, pomiędzy zielonemi błyszczącymi liśćmi ukazują się ładne białe kwiatki o woni jaśminu, a następnie powstają jagody, które początkowo są zielone, potem pąsowe a w końcu czarno-brunatne.

Drzewo kawowe kwitnie dwa do trzech razy do roku, pierwszy raz we Wrześniu lub Październiku a ostatni w Styczniu, w połowie brazylijskiego lata po nadejściu ulewnego deszczu. Owoce rosną parami przy samej gałęzi, zwykle na przemian z liśćmi, i zawierają po dwa ściśle związane z sobą ziarenka otoczone łupiną. Jak ślicznie wygląda to drzewko okryte kwiatem i kolorowym owocem, trudno opisać.

Zbiór wypadła w miesiącu Maja i Czerwcu, przy pierwszym zbiorze zrywa się tylko same dojrzałe pąsowe jagody, zaś przy drugim ściągają grabiami wszystkie, bez wyjątku owoce a więc nie dojrzałe, dojrzałe pąsowe, oraz przejrzałe czarne, razem na ziemię spadają.

Podczas naszej bytności na górze kawowej spotkaliśmy kilka rodzin hiszpańskich i niemieckich zajętych zbiorami kawy. Pomiędzy krzewami leżały nagromadzone kolorowe owoce, niby stosy szklanych paciurek. Kilka dni pozostawia się je tak, dla wysuszenia, następnie rozsypuje cienkimi warstwami w przeznaczonym na to miejscu, przeraabia kilka razy dziennie, aż do chwili gdy po upływie trzech lub czterech tygodni mięsista powłoka zamieni się w kruchą i opadnie.

Uprzejmy nasz przewodnik pokazywał i objaśniał nam to wszystko na miejscu, a pomimo spóźnionej pory zaprowadził nas jeszcze do budynku, w którym ustawione maszyny poruszane są siłą wody. Widzieliśmy tam, jak jedna maszyna oczyszczała ziarenka kawy od wszystkich obcych przymieszek, kawałków drzewa i kamyczków, a następnie druga wyluskiwała z zeschniętej powłoki, podobnej do pargaminowej skórki. Inna oczyszczająca maszynę, poruszona siłą wiatru, odłącza łuskę, w której ziarenka mieszczą się parami, i wyrzuca jednocześnie na dziedziniec ową łuskę, używaną jako nawóz. Oprócz tego kawa przechodzi jeszcze przez maszynę sortującą t. j. cylinder z otworami czterech wielkości, rozdzielający kawę na cztery a niekiedy sześć gatunków.

Na plantacji przez nas zwiedzanej wszystkie te oddzielne czynności łączą się w jednej maszynie, w ten sposób urządzonej, że kawa za pomocą ele-

watorów przeprowadzona jest z jednego oddziału do drugiego, przez co naturalnie znaczna jest oszczędność na sile roboczej.

Ziomek nasz p. Vogt, uśmiechając się, przedstawia nam małe okrągłe ziarneczka, zupełnie podobne do najwyższego gatunku kawy przywożonej z Arabii i jako mokka w handlu sprzedawane. Jednak różne te gatunki kawy, zapakowane w workach, przywożą pod nazwą kawy Santos do portu, a ztąd rozechodzą się na wszystkie strony świata.

Wiadomości te zajęły mnie w wysokim stopniu, nastroczając mnóstwo zapytań, których dokładne wyjaśnienie otrzymałam od naszego gospodarza, zarządzającego produkcją kawy, gdy zebraliśmy się wieczorem przy lampie na poufną gawędkę.

(Dokończenie nastąpi).

NOTATKI LITERACKIE.

Literacki nasz majątek powiększył się liczbą znaczną utworów nowych i wydań powtórných, że przeciw poezji należy się miejsce pierwsze, od niej więc zacząć nam trzeba, zwłaszcza że strona ta ozwała się pod ręką niepospolitego kunsztmistrza, Felicjana Faleńskiego, wydając dźwięki poważne, o harmonii pełnej głębokiego nastroju myśli i wzniosłych na życie poglądów. „Pieśni spóźnione“, książka niewielka, złożona z 80 stronnic, zawiera w sobie tyle piękności prawdziwych, że żałować powinien ten, kto ich nie pozna. „Skargi Orfeusza“, poważna, spokojna, głęboko odczuwana poezja, przemawia do czytelnika: „Miłości ziemskiej o i któż wypowie twoje zachwyty, grozy i boleści? I w sercu jednym ile się tam mieści potęgi biernej!“ W cyklu drugim: „Z nad mogił“ zawierającym poezję z motywem klasycznym, znajduje się bardzo piękny sonet do młodzieńca, zapewne też poety, na którego woła:

Młodzieńcze tęskny za słoneczną stroną
Łzawem goniący okiem nieprzerwanie,
W którego duszy święte bojowanie
A w piersi żar miłości rozpalono.

Kapłanem jesteś! W drżące twoje łono
Duch Boży wstąpił i tam pozostanie
Póki sam zechcesz — tylko niu kapłanie
Wiecznie świątynię chowaj oczyszczoną.

Ze wszystkich bogin, które królowały
W Olimpie świetlnem, bojowanie chwały
Zbrojnej dziewczicy tylko w dział oddano.

Ze wszystkich dziewic zbrojnych w cnót puklerze,
Tylko ta, która świętych ogni strzeże,
Westa, dziewczicą była nieskalana.

P. Bronisław Grabowski przełożył wierszem rymowym poemat łaciński z XVII wieku Józefa Bierzanowskiego, magistra Akademii krakowskiej pod tytułem: „Parnas święty — góra Koniusza“. Poemat ten ukazuje się wkrótce, wydany nakładem kanonika Wojciecha Brolla, proboszcza w Koniuszu.

— „Kartki historyczne i literackie“ przez Al. Kraushara, zasłużonego badacza historii naszej, mieszczą w pierwszy części książki: „Poselstwo Jakóba Smiarowskiego do Bohdana Chmielowskiego pod oblężony Zamość w 1648 r.“ „Dramat rodzinny“, którego przedmiotem jest porwanie młodej dziewczyny, Joanny Suchodolskiej, córki Tomasza Suchodolskiego, łowczego lubelskiego, którą porwał Mikołaj Trzeński, sąsiad bliski, rozkochany w pięknej panience, od której, odgradzała go stara waśń dwóch rodzin, stanowi część drugą; trzecia „Wspomnienia“ mieści sylwetki literackie i ocenę kierunku, działalności piśmiennej „Kuryera Warszawskiego“ w przeciągu lat dwudziestu pięciu.

— *Dusze w odlocie, z pamiętników młodego lekarza*, przez Maryana Gawalewicza, rzecz napisana z talen-

tem już znanym i uznanym, przedstawia dramat, jakie śmierć niesie za sobą, rozdzielając tych, których łączą węzły miłości, przerywając nieukończoną pracę, której się poświęcało życie. Młody lekarz po długich walkach z losem, aby mógł zdobyć sobie wiedzę w przedmiocie obranym jako pracę życia, staje wobec dramatów takich a zrządzeniem losu spotyka w domu, który zamieszkiwał, trzy odlatające już w zaświaty dusze. Jest tu chłoję młodziuchne, dziecko prawie, czternastoletni Józio Szlarkiewicz, syn ubogiej wdowy, szwaczki, która dniem i nocą śleczy nad robotą nie tylko na utrzymanie siebie i syna, ale i na jego naukę, bo okazał się tu talent muzyczny. Ale bieda podkopuje delikatny, wątły organizm i czyż przetrzyma chorobę, która grozi śmiercią? Druga dusza w odlocie, to dziewczę młode, wdzięcznie piękne i jedyne u ojca wdowca, którą zabija powoli choroba okrutna, suchoty. Trzecią duszą, która ma opuścić świat ziemski, to człowiek stary i samotny, całe życie nie szczęśliwy, więc zgorzkniały, i młody lekarz staje się zarazem duchową dźwignią tych nieszczęśliwych, stosunki ich do siebie odmalowane są z taką uczuciowością prawdziwą, z taką tkliwością wzruszającą, że książkę czyta się z rozrzewieniem i zarazem z zajęciem wielkiem.

— *Droga do szczęścia*, książeczka o 48 stronnicach przez A. Kwiatkowskiego, zawiera dobrą naukę życia. Szczęście to zadowolenie wewnętrzne, które przeciw może człowiek pozyskać sobie sam tylko, czując w głębi swojej że jest uczciwym, że posiada szacunek ludzki, że nie je darmo chleba. Praca dopomaga mu do tego, przez pracę bowiem człowiek zdobywa sobie wszystko co tylko posiada, od majątku aż do szacunku ludzkiego, do spokoju ducha, jak to wie każdy człowiek myślący i czujący.

— *Z Dogmatem* powieść Michała Wołoskiego, rzecz bardzo dobra jako pomysł, ale nie oddana tak, jakby pragnąć można, bo strona psychologiczna nie wykazuje czytelnikowi tego, co przyrzekać się zdaje. Jest to szlachetna postać kobiety — siostry oddanej całemu sercem braciom, którzy nie umieją stać przy obowiązku. Uczy się najrozmaitszych nauk i niemal cudownym jakimś sposobem zdobywa je sobie, wreszcie idzie za mąż, przedstawiając przeciwko razem utopią raczej niżeli prawdę życiową i szkoda wielka, że się tak stało, bo pozyskalibyśmy powieść szlachetnego, podniosłego gatunku.

— *Poturzeniecy*, przez Kajetana Kraszewskiego, jest to opowieść na tle historycznym: dyaryusz wypraw wiedeńskiej, skreślony przez Towarzysza chorągwi pancerniej. Autor odnalazł go na poddaszu we wsi Czerwony Chotel, w powiecie Pinczowskim, wraz z kilku starożytnymi portretami z XVII wieku, między którymi znalazł podobiznę bardzo młodej i bardzo pięknej kobiety, blondyny z czarnemi oczyma w habitie Karmelitanek a z wieńcem rozmarynu na głowie i białym welonem ślubnym. Na drugiej stronie znajdował się napis: „Salomea Chotelska, panna a wdowa.“ Poturzeniecy to trzech młodzieńców: Pochajski, Podolski i Skalski, wziętych w jassyr, a którzy dostawczy się na dwór wielkiego wezyra byli jego pokojowcami, aż potem w czasie wyprawy wiedeńskiej dostali się do armii króla Jana, wielce bogaci, bo gdy przyszła chwila, w której Turcy podając tył uchodzili z pola, wezyr kazał brać każdemu kto by chciał skarby, już dlań stracone którymi obladowani udali się armii chrześcijańskiej i wrócili do ojczyzny, ale nie pozbyli się zarazem dzikich obyczajów. Pokochał jeden z nich bez wzajemności młodą dziewczę, Salomeję Chotelską, której serce nie odpowiadało przeciwko jego miłości i porwał ją w sposób gwałtowny w chwili, gdy stanęła przed ołtarzem, młody oblubieniec został zabity, nieszczęśliwa kobieta została pochwycona, w cztery miesiące potem wstąpiła do zakonu Karmelitanek w Krakowie.

— *Na złotym szlaku, opowiadanie z ubiegłych wieków*, przez Maryę Łopuszańską ma również tło historyczne z tego też zakresu, ale brak tu tej cechy historycznej, która by do tego upoważniała. Postacie nie żyją życiem danej epoki, trzeba przeciwko dodać, że jest to pierwsza praca autorki a mieszczą się tu i rzeczy bardzo pięknie skreślone, obok szlachetnego stylu, bogatego w obrazowość. Można też powiedzieć że literaturze naszej przybyła jedna siła, która niewątpliwie rozwinie się w sposób pożądany.

— *Schiller i Goethe w pamiętnym dziesięcioleciu ich przyjaźni*, od połowy 1794 do 1805 r., przez Spasowicza, przedstawia tu charakterystykę obydwóch poetów, obok której kreśli autor poglądy swoje na zadanie poezji; Schiller odpowiada mu w zupełności, na co zgodzi się zapewne bardzo wielu sędziów literatury odnośnie do jej wpływów na czytelnika, podnoszących w piersiach ludzkich uczucia wzniosłe i szlachetne. *Dziewica Orleańska* już to stwierdza.

— *O klimacie górskim w Zakopanem*, przez D-ra Florkiewicza broszurka nieduża wykazuje zalety powietrza na Podhalu tatrzańskim. Obok geologicznych i meteorologicznych danych, autor rozbiera tu w krótkości główne czynniki lecznicze Tatr. Pisząc dalej o przyszłości leczniczej tej stacyi liczy autor na zajęcie się tą sprawą ludzi możnych i władz krajowych.

— K. Estreicher ogłasza, iż wkrótce wyjdzie z druku tom XIV jego bibliografii. Przygotował też materiały do dwudziestu nowych tomów tej pożytecznej dla społeczeństwa pracy.

— Sewer Maciejowski pisze trylogią powieściową, której za temat służy teatr; w celu potrzebnych mu tu studyi wyjeżdża do Lwowa, gdyż tom drugi jego książki ma mieć za tło dzieje sceny lwowskiej.

Z bieżącej chwili.

— Piszą z Petersburga, o stosowaniu tam obowiązkowem w obrębie miast do kominów fabrycznych aparatów do spalania dymu. Wybór systemu aparatu pozostawiony będzie interessowanemu tu przemysłowcom.

— Dzienniki petersburskie, donoszą, iż rozpoczyna się tam wkrótce w radzie państwa rozprawy nad projektem departamentu kolejowego „o środkach mających na celu przyjsie z pomocą inicjatywie prywatnej przy budowie sieci dróg podjazdowych. W projekcie ministerjalnym naszkicowano plan 30.000 wiorst kolei podjazdowych na ogólną sumę 450 milionów rubli. W roku bieżącym przeznaczono już na ten cel 10 milionów rubli.

— Kassa pożyczkowa Warszawskiego Tow. Dobroczynności posiada od końca stycznia 36.631 rs., kapitału zakładowego, oraz 35.126 rs., rezerwowego. Stan gotowizny przedstawia 7.886 rs.; na pożyczkach pozostaje 56.830 rs.

— Komitet wystawy wyrobów metalowych obwieszcza, iż deklaracje tylko po dzień 1-go marca przyjmowane będą i zarazem wzywa wystawców, którzy nie złożyli do katalogu wiadomości informacyjnie statystycznych o przesłanie jak najpośpieszniejsze pomienionych szczegółów kancelaryi Muzeum przemysłu i rolnictwa ponieważ prace przygotowawcze do tego wydawnictwa już się rozpoczęły. Najbliższe posiedzenie członków komitetu odbędzie się w d. 26 o godzinie siódmej wieczorem.

— Wystawa umeblowań stylowych, urządzona przez komitet Muzeum rzemiosł w celu podniesienia poziomu rzemiosł i rozbudzenia smaku artystycznego, otwarta w maju, mieścić będzie działów pięć: gotycki, odrodzenia, inaczej renesansowy, obejmujący działów pięć: polski, gdański, włoski, francuzki (dyrektoryatu i cesarstwa) dział współczesny, styl podhalań zakopańskich. Aby wystawa odpowiedziała przeznaczeniu swemu, potrzebny jest współudział ogółu i komitet zwraca się za pośrednictwem pism peryodycznych do wszystkich osób posiadających przedmioty stylowe tak w meblach, jak i tka-

ninach, oraz różnych ozdobach, aby zechciały nadesłać je na wystawę. Komitet zaręcza, że wszystkie nadesłane przedmioty nie poniosą najmniejszego uszkodzenia. Informacje i adresa należy przysłać do kancelaryi Muzeum: Krakowskie przedmieście Nr. 66. Porozumienie osobiste może się odbywać codziennie między 11 a 12 godziną w południe, lub 7 a 9 wieczorem.

— Wystawa konkursowa malarstwa, urządzona przez Tow. zachęty sztuk pięknych zgromadziła kilkadziesiąt obrazów, ale ilość przewyższa tu jakość. Do okazów prawdziwego talentu i poważnej pracy zaliczają znawcy obok obrazów Kamińskiego, Olgi Boznańskiej i Stankiewiczówny, Karola Klappfera, „Las“, Nostitz Wasilkowskiej „Dwie siostry“. Żadny tu jest obrazek „Przestroga“ Antoniego Austena, przedstawiający dwie wiejskie dziewczyny i polowego na tle wdzięcznego krajobrazu. W bocznym salonie mieści się pośmiertna wystawa dzieł Podkowińskiego, płócien kilkanaście: portrety, obrazy rodzajowe obok dwóch większych rozmiarów treści fantastycznej: „Marche funebre“ i „Nocturne“. „Szał uniesień“, który w szale podobnym chciał artysta zniszczyć, odrestaurowany obecnie zajmuje całą ścianę obok portretu, otoczonego krepą czarną i ozdobionego gałązką palmową. Nagrody przyznane zostały w tym porządku: nagrody pierwszej nie przyznano nikomu, dwie drugie dano: p. Boznańskiej i Hirszenbergowi; trzecie dwie Lentzowi i Tetmajerowi. Listy pochwalne otrzymali: Mehofer, Piotrowski, Kamiński, Stankiewiczówna i Rapacki.

— Salon artystyczny na Nowym Świecie wystawił świeżo nowe obrazy, przeważnie z działa malarstwa religijnego, a między temi: prof. Gersona, H. Piątkowskiego, W. Gumińskiego, K. Mireckiego. „Porwanie Angeliki A. Weissa, szczególnie zajmuje uwagę zwiedzających osób.“

— Czytelnia dzieł i pism naukowych (Marszałkowska Nr. 127) ze względu na osoby zajęte pracą obowiązkową w dni powszednie, otwartą będzie w niedzielę w godzinach po południowych, od czwartej do dziesiątej godziny w wieczór dla pragnących czytać książki i pisma peryodyczne na miejscu. Aby użytkować z tego mogły szersze koła czytelników cena wejścia będzie niższą w dni świąteczne i niedziele od godziny czwartej do dziesiątej z opłaty 5 kop. na 3. Znajduje się tu przeszło sto czasopism nietylko miejscowych ale w rozmaitych językach: francuzkim, niemieckim, angielskim, obok znacznego zbioru dzieł beletrystycznych i naukowych.

— Warszawianin, Jan Waszkowski, ukończywszy w roku zeszłym akademią sztuki dekoracyjnej w Wiedniu i znany już w Monachium jako utalentowany malarz krajobrazów, bierze udział w wyprawie naukowo-artystycznej do bieguna północnego. Na posiedzeniu akademii nauk w Sztokholmie, odbytem w bieżącym miesiącu aeronauta André, wykazywał możliwość odbycia balonem podróży takiej. Według wywodów jakie przedstawia ulepszonego technika balonów pozwoliła by na wykonanie tej podróży w przeciągu dni trzydziestu. Koszta tej wyprawy wyniosły by 130.000 koron.

— Na krakowskiej wystawie sztuk pięknych mieści się zwracająca uwagę znawców wypukłorzeźba w gipsie, przedstawiająca popiersie Matejki, spoczywającego na łożu śmierci, głowa okolona wieniec wawrzynny. Miłośnicy sztuki czynią starania, aby dzieło to, wyższego już talentu, zostało odlane w brązie.

— We Lwowie zorganizowało się Towarzystwo zachęty do przemysłu krajowego, a w pierwszych zarządnach zapisało się tam 106 członków zwykłych i 13 członków założycieli, którzy złożyli po 100 zł. reń. Na obradach, którym przewodniczył

ks. Jerzy Czartoryski przemawiał Tadeusz Romanowicz i prof. Zacharyewicz.

— Zebranie inicjatorów powiększenia funduszu zakładowego galicyjskiego Banku handlowego i przemysłowego, zadeklarowało sumę 400.000 zł. reń.; potrzeba tu przecież dwóch milionów. Zebranie wyraziło nadzieję, iż pieniądze te zostaną zebrane, na co oznaczono termin czasu półroczny.

— Na miejsce ks. Pużyny, który został księciem biskupem krakowskim, mianowany został biskupem sufraganiem lwowskim ks. Józef Weber, syn ubogich rodziców, który o własnej sile i pracy mozolnej zdobył sobie wyższe wykształcenie umysłu. Jest on też wielce poważany w kołach wszelkich i czczony dla wielkiej dobroczynności, oraz łagodnego charakteru, obok silnych przekonań. Lud garnie się do niego z ufnością, jak do ojca.

— Sprawa o Morskie Oko bierze obrót pomyślny. Referat ten objął w Wiedniu radca prawny Róza, studiujący rzecz pracowicie i starannie. Rozpatrując stare mapy i akta sądowe doszukał się dowodów, że Węgry już w XVIII usiłowali przywłaszczyć sobie tę miejscowość.

— Na ostatnich dwóch posiedzeniach sejmiku lwowskiego podniesiono rozmaite wnioski, z pośród których jednym z najważniejszych był wniosek, zmierzający do upowszechnienia między ludem asekuracji ogniowej. Pożary zrażają w Galicji szkody obliczone blisko na pięć milionów złotych reńskich. Ozwal się tu z kolei wniosek bardzo też ważny, wychodzący od wydziału krajowego, a to w sprawie założenia we Lwowie osady rolniczo-poprawczej dla nieletnich chłopców. Liczba ich powinna być co najmniej 150.

Wniosek asekuracji na życie był niemniej doniosłego znaczenia, bo wtedy tylko wdowy i sieroty nie będą po śmierci męża i ojca wystawione na łaskę losu.

— Osada rolniczo-poprawcza założoną wkrótce będzie w Galicji, na folwarku Bylice, w powiecie samborskim. Koszta wzniesienia tego zakładu obliczono na 300.000 zł. reń. Przyjętym tu ma być system wychowawczy salezyjański, zaprowadzony w Galicji przez O. Bronisława Markiewicza, który w tym celu wstąpił do Salezjanów w Turynie, aby poznać praktyczne strony tego systemu wychowawczo-poprawczego. Przebywał on tam lat siedem a powróciwszy po tym czasie do kraju, założył w miejscu, gdzie został proboszczem, dom dla zaniechanych chłopców, liczący obecnie trzydziestu trzech wychowanców, z których 27 jest z Galicji, a sześciu ze stron innych. Niemal w ogóle wychodzą oni z niego utraceni w pojęciu życia uczciwem.

— Z powodu zbliżającej się wystawy obrazów w Berlinie dziennik tamtejszy, specjalny w zakresie malarstwa „Atelier“ pisze o artyście naszym Falaście, iż „obok biegłości technicznej posiada dość inteligencji artystycznej, aby się ustrzedz od banalności. Jest on tak obfitym w pomysły, w obrazach jego jest tyle punktów wybitnych, że nikt z malarzów berlińskich współzawodniczyć z nim nie może. W dziełach jego tkwi czarujący temperament rasy polskiej, jakaś sprężystość i ujmująca widza wytwórczość.“ Wystawa otwartą będzie w dniu 1-ym maja z trwaniem do d. 29 września. Nasi malarze, rzeźbiarze i budowniczowie mogą składać deklaracje na wzięcie w niej udziału do dnia 1-go marca. Przyjmowanie dzieł sztuki rozpocznie się od dnia 11-go do 23-go marca.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za cudzą winę**, przez autorkę powieści „Silny duch“. Przekład z niemieckiego ark. 3 i 4.

TREŚĆ: Siła woli, przez M. I.—Pieśń szczęścia, przez Selima.—Kobieta w Stanach Zjednoczonych. I.—Bluszczy, obrazek z życia rodziny, przez Maryana Gawalewicza (dalszy ciąg).—Dla ubogich dziewcząt, przez A. Ch.—Z podróży do Brazylii.—Notatki literackie.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Za cudzą winę**, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“, przekład z niemieckiego arkusz 3 i 4.—Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.